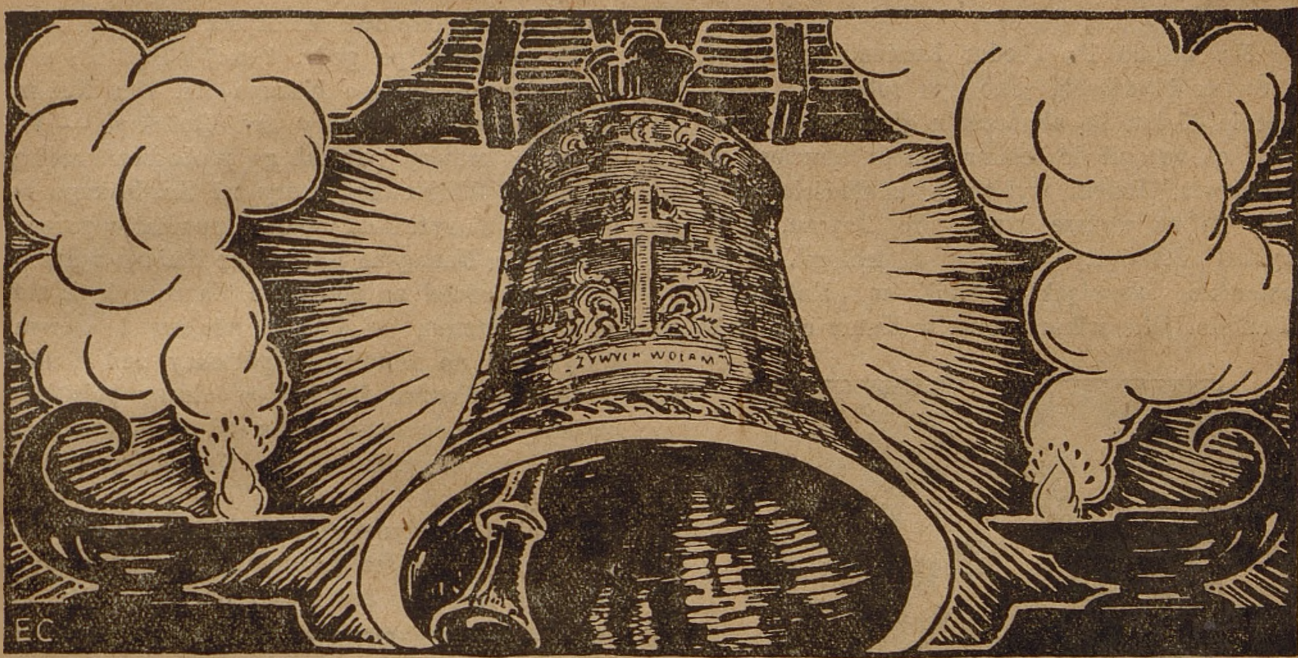
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Cena 20 groszy.**

Nr. 7. Kraków, 14 lutego 1926 Rok II.



DZWON NIEDZIELNY

ILUSTROWANY TYGODNIK KATOLICKI.

Przedpłata wynosi:
na cały rok 7 zł, na pół roku 4 zł, na kwartał zł 2·20.
Numer pojedynczy 20 groszy.
W Ameryce 2 dolary. — We Francji 30 fr.
W Danji 7 koron.
Każdorazowa zmiana adresu 1 zł.

Redakcja i Administracja:
Kraków, ul. Sienna 5.
Nr. P. K. O. 404.712.
Reklamacje niezapieczętowane wolne są od opłaty pocztowej.

Na powitanie biskupa na Jasnej Górze.

Gród Królowej Korony Polskiej został ozdobiony stałą obecnością biskupa - ordynarjusza. Niewątpliwie brakowało tego do wspaniałości, jaką powinna Jasna Góra świecić.

Ojciec św. w encyklice „Vixdum Poloniae unitas" z dnia 28-go października z. r. ogłosił całemu światowi utworzenie nowej diecezji częstochowskiej. Jest ona wykrojona z dwóch diecezyj: włocławskiej i kieleckiej. Nowa diecezja stworzona w ten sposób, że przynależy do niej cały obszar górniczy Zagłębia dąbrowskiego i szerokiego przemysłu okolicy częstochowskiej. Jest więc nawskroś diecezją robotniczą.

Wybór biskupa tej diecezji robotniczej został niezwykle szczęśliwie dokonany. J. E. Ks. biskup Dr Kubina jest bowiem synem bardzo ubogich rodziców. Bawiąc dnia 17-go stycznia na opłatku młodzieży rękodzielniczej w bursie ks. Kuznowicza ks. biskup Kubina uroczyście oświadczył, że miał biednych robotników za rodziców, że zażył w młodości nie mało biedy i nędzy. Wspomnienia własnej niedoli ziemskiej pomnoży tylko Jego wzniosłe, nauką Chrystusa przejęte dążenia, aby być dobrym ojcem i gorliwym Apostołem licznej rzeszy robotniczej w swej nowej diecezji. Nasz Boski Zbawiciel z pomiędzy robotników wybrał sobie współpracowników do zakładania Królestwa Bożego na ziemi. Życzymy ks. biskupowi Kubinie, aby przywiązane do religji katolickiej rzesze robotnicze w nowej diecezji częstochowskiej pod Jego światłem i zbożnem przewodnictwem, stały się niezwyciężonem

wojskiem Królowej Korony Polskiej i Jej Boskiego Syna.

* * *

Ks. biskup Dr Teodor Kubina, urodził się w Świętochłowicach, jako syn robotnika. Liczy obecnie 45 lat. Po ukończeniu gimnazjum w Katowicach wstąpił do seminarjum duchownego we Wrocławiu. Dzięki wybitnym zdolnościom wysłano go na wyższe studja do Rzymu, gdzie uzyskał doktoraty filozofji i teologji. Duszpasterskie obowiązki pełnił w Kołobrzegu i Berlinie (jako wikary) oraz w Katowicach jako proboszcz kościoła Najśw. Marji Panny (od 1917 roku). Ks. biskup Kubina od początku odznaczał się wielką gorliwością i umiłowaniem zagadnień społecznych, robotniczych. Podczas plebiscytu na Śląsku wysyłano Go często do Rzymu jako delegata Naczelnej Rady ludowej.



Ks. biskup Dr. Teodor Kubina.

Ingres pierwszego biskupa w Częstochowie odbył się pod znakiem wprost olbrzymiej manifestacji religijno-narodowej. W ingresie — w Uroczystość Matki B. Gromnicznej, dnia 2-go lutego brali udział: Książę Metropolita Sapieha, biskup kielecki Łosiński, śląski Dr Hlond, łódzki Tymieniecki, — reprezentanci rządu szef dep. wyznań p. Piękarski, wojew. kielecki p. Manteuffel — i nieprzeliczone rzesze ludu wiejskiego, robotników i ludności miejskiej.

O godzinie 9-tej rano przybył ks. biskup Kubina do bazyliki Jasnogórskiej. Tutaj sakry biskupiej udzielił mu Ks. Metropolita Sapieha w asyście ks. ks. biskupów: Łosińskiego i Hlonda. Nowy biskup odprawił uroczystą Mszę św.

Po południu po godz. 1-szej odbył się uroczysty ingres nowego biskupa Ks. Dra Kubiny do tymczasowej katedry św. Rodziny. — We drzwiach katedry powital go proboszcz katedry ks. prałat Wróblewski, który też Ks. biskupa po przepisanych rytuałem modłach powitał w gorącej przemowie. Następnie Ks. biskup Kubina z ambony odpowiedział na powitanie. Zaznaczył, **że stoi na najświętszem w Polsce miejscu i wezwał wszystkich do zgodnej współpracy nad zbudowaniem Królestwa Bożego w duszy polskiego narodu.** Po odebraniu hołdu od duchowieństwa i udzieleniu błogosławieństwa Ks. biskup opuścił katedrę.

Do miasta napłynęły dziesiątki tysięcy ludności katolickiej. Wzgórze jasnogórskie zasiane było mrowiem ludzkiem przez cały dzień.

Ewangelja na niedzielę Zapustną.

Ewangelja według św. Łukasza w rozdz. XVIII.

Onego czasu mówił Jezus uczniom swoim: Oto wstępujemy do Jeruzalem, a skończy się wszystko, co napisaue jest przez Proroków o Synu człowieczym. Bo będzie wydany poganom: i będzie naigrawany i ubiczowany i oplwany. A ubiczowawszy zabiją go: a dnia trzeciego zmartwychwstanie. A oni tego nic nie rozumieli: i było to słowo zakryte od nich i nierozumieli, co się mówiło. I stało się gdy się przybliżał ku Jerychu, ślepy niektóry siedział wedle drogi, żebrząc. A usłyszawszy rzeszę przechodzącą, pytał, coby to było. I powiedzieli mu, iż Jezus Nazareński mimo idzie. I zawołał, mówiąc: Jezusie, synu Dawidów, zmiłuj się nademną. A którzy szli wprzód, fukali nań, aby milczał. Lecz on tem więcej wołał. Synu Dawidów zmiłuj się na demną. A Jezus stanąwszy rozkazał go przywieść do siebie. A gdy się przybliżył, pytał go. Mówiąc: Co chcesz, abym ci uczynił? A on powiedział: Panie, abym przejrzał. A Jezus mu rzekł: Przejrzyj, wiara twoja ciebie uzdrowiła. I natychmiast przejrzał i szedł za nim, wielbiąc Boga. A lud wszystek, widząc, dawał chwałę Bogu.

Nieszpory.

Siódma godzina kanoniczna czyli nabożeństwo popołudniowe odprawiane w stałych godzinach, według ścisłych przepisów Kościoła, nazywa się nieszporami. Codziennie przez każdego kapłana odmawiane z brewjarza, po klasztorach benedyktyń-

skich zawsze śpiewane, w innych albo odmawiane lub śpiewane, zaś w naszych kościołach parafjalnych tylko w niedziele i święta śpiewane, jako popołudniowe nabożeństwo z pięciu psalmów, hymnu, pieśni „Magnificat“ i modlitwy kościelnej złożone; na zakończenie jedna z antyfon marjańskich.

Nieszpory to wieczorna modlitwa dziękczynna, to wieczorna ofiara warg i ust Kościoła.

Pochodzeniem sięgają czasów jeszcze Mojżesza i nabożeństw żydowskich. Jak wiadomo u żydów były składane codziennie dwie ofiary w świątyni: jedna ranna — druga wieczorna; i przytem śpiewano psalmy. Czas tej wieczornej ofiary trwał od godziny 9-tej (naszej 3-ciej popoł.) aż do zachodu słońca, bo ofiarowanie było połączone z różnemi modlitwami i śpiewami. Prywatne zaś modlitwy odprawiał każdy żyd mniejwięcej w chwili, kiedy w świątyni składano wieczorną ofiarę i śpiewano odpowiednie psalmy.

U chrześcijan w II wieku należały nieszpory do publicznej wieczornej modlitwy. Do czasów świętego Benedykta († 542) stanowiły pierwszą część nocnych śpiewów t. zw. nokturnów. Ten założyciel zgromadzenia Benedyktynów odłączył nieszpory i przesunął je na czas przed zachodem słońca. Pierwotnie jednak były odprawiane przy świetle świec, stąd dziś jeszcze we wschodnich kościołach nazywają się „Nabożeństwo przy lampach“. I nasza nazwa nieszpory — od łacińskiego vespera — wieczór — wskazuje na to, że śpiewano je przy zapowiadającym się zmroku. Dziś czasem zaraz po 2-giej lub 12-tej godzinie bywają śpiewane.

Przy zapalonych światłach, wieczorem, gdy się świat do snu układał, a ludzie poganie myśleli o zabawach, Kościół śpiewał pienia dziękczynne swemu Bogu.

Najuroczystsza to może godzina kanoniczna obok jutrzni uświęcona przepisami Mojżesza, zwyczajem Chrystusa i Jego uczniów. Godzina wieczorna to pora najbardziej sprzyjająca skupieniu. Znękane i utrudzone członki dzienną pracą, odpoczywają, ale serce i myśli szybciej teraz pracują. Wieczorem przychodzą myśli więcej poważne, łatwiej się wznieść ku Bogu. Choć ciemno na świecie, ale gwiazdy niebo olśniewają, choć oczy zmęczone do snu się kleją i pomrok zapada nas, jednak dusza wieczorem jaśniej widzi i czulszą bywa, człowiek czując się dalszym od świata i gwaru dziennego, łatwiej zstępuje w głąb własnej duszy i odnajduje Boga. Jak dziwnie i uspakajająco działa na duszę wieczorna cisza. Nieszpory przy świetle świec, to jakby ciąg dalszy nabożeństw w katakumbach, gdzie półmroki i cienie nastrajały duszę, gdzie w ciszy, słyszano bicie serc i słowa psalmów: „Do Ciebie ja wołam, Panie, słuchaj proszę głosu mego. Niech wstąpi modlitwa moja jako ofiara kadzenia przed Ciebie, a podniesienie rąk naszych niech będzie jako ofiara wieczorna“ (Psalm 140). Dzisiaj nie śpiewa się w nieszporach tego psalmu, tylko słowa powyższe: „Niech wstąpi modlitwa itd.“, przed Magnificat są odśpiewane, a potem przy śpiewie hymnu Najśw. Marji Panny okadza się ołtarz i modlitwą dnia kończą się nieszpory. **X. M. K.**

Przyjaźń dwóch pięknych dusz.

Przed kilkunastu dniami zmarły ś. p. kard. Mercier, żył w serdecznej przyjaźni z angielskim lordem Halifax'em — protestantem. Cóż za dziwna przyjaźń? Kardynał katolicki, słynący na cały świat w niezwykłej świątobliwości oraz wiedzy nawskróś katolickiej i przedstawiciel heretyckiego anglikanizmu lord Halifax! Warto o tej przyjaźni zawiadomić szeroki ogół katolicki w Polsce.

Przyjaźń kard. Merciera z lordem Halifax'em miała podnóże — religijne. W jaki sposób? Obą byli na wskróś przejęci wielką ideą połączenia się Kościoła katolickiego z anglikanizmem. W tej sprawie odbywały się w Malines, u kard. Merciera poufne rozmowy naukowe na temat różnic, które anglikanizm od Kościoła katolickiego oddalają. O czem tam rozmawiano, do jakiego stopnia posunięto możliwość nawrócenia Anglji — nie wiadomo. Ani ś. p. kard. Mercier ani lord Halifax nie oświadczyli się nigdy publicznie o szczegółach tych ważnych rozmów. Wiadomo tylko tyle, że po każdej „rozmowie“ stosunek przyjacielski obu wielkich mężów stał się coraz serdeczniejszym i religijniejszym.

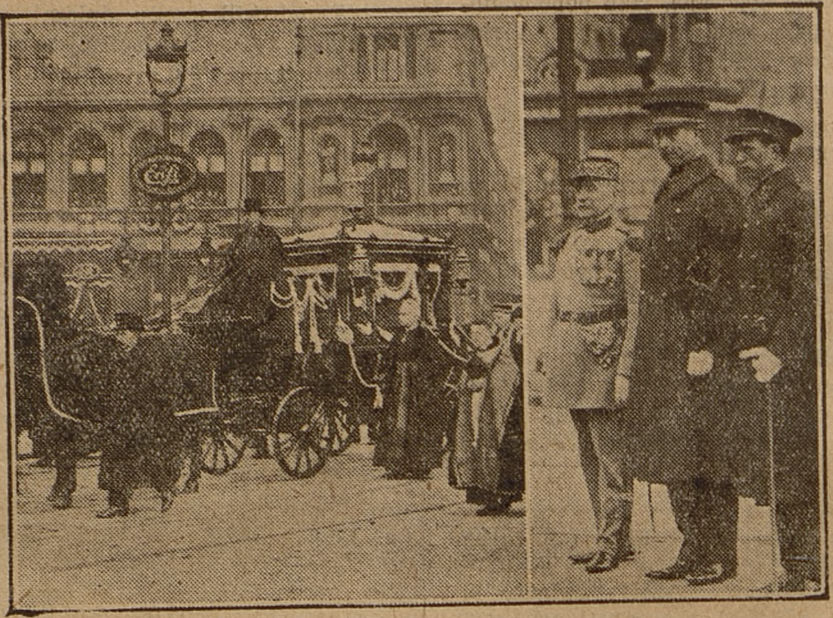
Lord Halifax miał w Louvain (w Belgji) dnia 19 listopada 1925 r. głośny odczyt o zjednoczeniu się kościoła anglikańskiego z Kościołem katolickim. Odczyt swój zakończył tą przepiękną modlitwą:

„Proszę Pana Boga z całego serca, aby nadszedł jaknajrychlej dzień, w którym przedstawiciele całego chrześcijaństwa zejdą się w bazylice św. Piotra w Rzymie, aby wysłuchać Mszy św., odprawionej przez Piusa XI-go na podziękowanie Bogu za przywrócenie pokoju między chrześcijaninami, za zgromadzenie wiernych ze wszystkich zakątków świata do wyrażenia wspólnego najgłębszej wdzięczności Panu Bogu, że zjednoczył chrześcijaństwo, że kres położył rozdarciom, że spełniła się ostatnia modlitwa naszego Zbawiciela: „Aby byli jedno”.

Z tej modlitwy protestanckiego lorda Halifaxa można śmiało wnioskować, że rozmowy z kard. Mercier mają olbrzymie znaczenie.

Lord Halifax — 86-letni staruszek, dowiedziawszy się o bliskim wygaśnieciu swego przyjaciela w dziele zbożnem, wyjechał natychmiast do Malines i zjawił się niespodziewanie u łóżka szpitalnego kard. Mercier. Radość kardynała była ogromną. Było to 21-go stycznia, t. j. dwa dni przed śmiercią. I te dwie wielkie dusze odbyły ostatnią rozmowę o — połączeniu chrześcijan. Obecni świadkowie ze zdumieniem wsłuchiwali się w jasne i głębokie zdania kardynała. Przed tą rozmową odprawiono w celi szpitalnej Mszę św., na której był obecnym i protestant lord Halifax. Kard. Mercier przystąpił do Komunji św. Tę ostatnią Komunję ofiarował kardynał na intencję rychłego spełnienia modlitwy lorda Halifaxa.

Przy zakończeniu swej ostatniej rozmowy z Halifax'em , kard. Mercier ściągnął z palca swój



Z pogrzebu kard. Merciera. Za trumną kroczą pierwsi: król Albert I. i marszałek Foch.

pierścień pasterski i spokojnym głosem wyrzekł te słowa:

„Patrz pan na ten pierścień. Darowała mi go rodzina, gdy zostałem biskupem, zawsze go nosiłem, choć miałem inne pierścienie. Po mojej śmierci proszę przyjąć odemnie ten podarunek“.

I rzeczywiście pierścień oddano lordowi Halifax'owi uroczyście dnia 27 stycznia b. r. Stary protestancki zwolennik zjednoczenia się chrześcijan przybył ponownie do Malines, aby odebrać cenną pamiątkę.

Jakież to piękne zdarzenie w tym smutnym czasie dzisiejszym! Są wzniosłe dusze, które nie idą za prądem ulicy, nie szukają tylko pieniędzy i swej chwały, ale pracują dla jedności w więzie Chrystusa. Piękne, bardzo to piękne.

Kard. Mercier kilka minut przed śmiercią całe swe życie, wszystkie swoje trudy i prace ofiarował swemu Stwórcy na intencję tej pożądanej jedności.

Jak nam daleko do tych olbrzymów ducha, do tych rycerzy Chrystusa i prawdy nawet na łożu śmiecri...

U nas — sekty... głupstwo... rozluźnienie jedności... **M.**

Naco się przyda porządek?

Przywiozłam sobie raz ze wsi dziewczynę do obsługi, na imię jej było Magdusia. Dobre to było i życzliwe, ale młode i niedoświadczone, niejedno ją w mieście dziwiło i długo pojąć nie mogła, na co się przyda porządek. Bo tam u nich, w małym przysiółku, nie było z tem wielkiego kłopotu. Raz na rok przed Wielkanocą matusia obieliła ściany i oczyściła okienka z much i pajęczyny, podłogi się nie myło, bo była z gliny ubita, śmieci wymiatało się na podwórko, gdzie je kury rozparpywały, mydliny wylewało się za chałupę i koniec.

A tu pani ma posadzki śliskie i błyszczące, jak lusterko, a jeszcze każe je codzień starannie suknem wytrzeć tak, żeby z każdego kąta jeść można, a kurz trzeba ścierać nawet na szafach, choć tam nikt nie widzi. Długo moja Magdusia markotno patrzała na ścierki, szczotki i miotełki, ale wkońcu przywiązała się do mnie i polubiła swoje zajęcie.

Dziś jest żoną zamożnego ślusarza, w jej mieszkanku tak schludno, że aż się błyszczy, a gdy ją pochwalę za ten porządek, to mnie po staremu w rękę całuje i mówi: „To mnie pani tak nauczyła — ale i mój strasznie lubi porządek i w zgodzie żyjemy, bo jak wróci z roboty, to wszystko ma na czas i na swojem miejscu. I dzieci nam się zdrowo chowają“.

W tych prostych słowach moja dawna Magdusia wyraża wybornie, na co się przyda porządek. Przyczynia się on najpierw do zdrowia, bo przez sumienne zamiatanie i wycieranie podłogi, przez staranne obcieranie mebli usuwamy kurz, który jest strasznie dla zdrowia szkodliwy. Przez codzienne otwieranie okien i wietrzenie rano i wieczór wypędzamy z mieszkania smrodliwe, zużyte powietrze, a wprowadzamy świeże, potrzebne naszym płucom.

I myć się trzeba codzień starannie, bo człowiek nie samemi płucami oddycha, ale i skórą — oddycha porami, to jest maleńkiemi dziureczkami, które się w skórze znajdują. Jeśli te pory są zapchane brudem, to ciało nie może oddychać, stąd powstaje ogólne osłabienie i przeróżne choroby, których sobie człowiek wytłumaczyć nie umie. Kto się często kąpać nie może niechże choć dość często zmienia

bieliznę, w bieliznę wsiąka pot i brud, a więc zmiana bielizny zastępuje po trochu kąpiel.

Mówiłam, że kurz jest dla zdrowia taki szkodliwy, a skąd się bierze tyle kurzu w mieszkaniu? Moja Magdusia utrzymywała zawsze, że to ze słońca, bo jak pochmurno, to pani nawet przez okulary nie dojrzy, czy na tej półce w kącie ścierane, a jak tylko słońce świ ci do pokoju, to w tych promieniach tańcują odrobinki pyłu. Ale wy, drodzy Czytelnicy, chyba tak nie myślicie. Widzicie przecie codzień, jak na ulicy ściera się bruk i asfalt pod naszemi nogami, pod kołami wozów i końskiemi kopytami. Pył z ulicy wciska się do naszych mieszkań razem z powietrzem szczelinami okien i drzwi, choćbyśmy ich nigdy nie otwierali. A nadto wiele kurzu wytwarza się w samem mieszkaniu. Przez chodzenie ścierają się podłogi i dlatego to w starej podłodze są deski takie sękate i nierówne. Zużywają się nasze ubrania, rozpadają się zwolna dywaniki i koce, a już najwięcej ścieramy podeszwy i obcasy. Z tego wszystkiego tworzy się w mieszkaniu kurz.

Jeśli się szczypcie pyłu przypatrzymy przez szkło powiększające, to ujrzymy szczątki najrozmaitszych przedmiotów. Tu kawalątko czarnej wełny, obok odrobina białej bawełny, tam maleńki szczątek pierza, drobniuchne kruszynki piasku, mąki, żelaza, sporo sadzy, która pochodzi z lampy lub z pieca, tu nóżka pchły, tam skrzydełko mola, wreszcie łupież z naszego ciała — słowem, ile tylko przedmiotów i stworzeń nas otacza, wszystkie odnajdujemy w prochu. Zużywa się nawet złoto i srebro klejnotów i twarda stal, bo pewnie zauważyliście nieraz, że ostrze noża z roku na rok staje się cieńsze i węższe.

Ale przez szkło powiększające widać jeszcze coś ciekawego. Widać dokładnie, że pył ma bardzo ostre kanty i dlatego **rozcina zwolna, ale stale nasze firanki, sprzęty domowe, suknie i buciki, kołdry i dywaniki.** To też im staranniej nasze rzeczy czyścimy z pyłu, tem dłużej trwają. **Kurz rozcina też, jak nożem, nasze płuca,** błonę śluzową w gardle, w oskrzelach i oczach, dlatego z kurzu porywa nas kaszel, dlatego dostajemy często kataru nosa, gardła i oczu. Wymiatając go starannie z każdego kąta wilgotną ściereczką, którą potem nie wytrzepać, ale przeprać trzeba, wietrząc pościel i trzepiąc odzież, nie dopuści też porządna gospodyni, by się w mieszkaniu pleniło obrzydłe robactwo, by może niszczyły odzienie.

Tak — porządek to przepiękna zaleta. Powiada angielskie przysłowie, że porządek następuje zaraz po pobożności. Bo i pomyślcie tylko, ile to swarów i obrazy Boskiej wynika nieraz w rodzinie z tego, że kobieta nie dba o porządek. Mąż wraca z pracy do domu, a tu ani usiąść niema na czem, bo wszystkie graty porozrzucane, na stołku woda rozlana, a na ławie łupiny z ziemniaków. Zabiera się do obiadu, a tu talerz wyszczerbiony, łyżka pogięta, widelec bez zęba, a nóż brudny od wczoraj. Po stole roje much spacerują wśród okruchów rannego śniadania. Chce się przebrać, cóż kiedy kobieta nie wszyła nadprutego rękawa, a bielizna nie pocerowana, nie połatana, kłębami w szufladzie się tłoczy, że użal się Boże. Niczego znaleźć nie można, bo nic

---

MARJA CZESKA-MĄCZYŃSKA.

19

DYMY.

Powieść z życia ludu.

— Niema ale, kochanie. Gdy byłem młodym chłopcem przywabiłem raz na wakacjach, psa sąsiada, chodził ze mną, jadł z nami, sprzeniewierzył się najzupełniej swojemu panu, pieściłem go, zdawało mi się, że robię mu pewnego rodzaju dobrodziejstwo. Potem naturalnie wyjechałem, a pies został, bo nie był moim. No i wiesz, co się stało, zdechł z tęsknoty. Nie mógł się przyzwyczaić do dawnego wiktu, do dawnych stosunków, zagłodził się. Dowiedziawszy się o tem, odniosłem wrażenie ogromnie przykre, że wyrządziłem temu stworzeniu krzywdę, pieszcząc go i psując przez czas wakacji. Odtąd zrozumiałem, że nie zawsze okazywana dobroć zawiera w sobie dobro dla tego, komu ją okazujemy.

— Człowiek nie jest psem Tadku.

— Człowiek jest właśnie wrażliwszym i łatwiej jeszcze krzywdę mu wyrządzić. Bo pomyśl, czyż przyszedłszy tu do nas, ten człowiek nie snułby mimowoli porównań między sobą a nami? Czy nie odczuwałby różnicy, chociażby w sposobie podania filiżanki herbaty twojemi rękami, a owego garnka, postawionego przed nim, przez Anielkę? Czy za każdym razem nie wstawałaby przed nim wizja przeszłości i nie budziła tęsknoty, nie rozkrwawiała ran zabliźnionych, nie podkreślała kroków dzisiejszego dnia, nie bolała? Czyż więc twoja dobroć nie wyrządzałaby mu również krzywdy, zamiast zsyłać ukojenie?

— Masz słuszność Tadku, zostawmy go tam, gdzie jest.

Pani Wanda przytuliła się do ramienia męża, milczeli oboje, na kominku drzewo bukowe strzelało radośnie, tchnęło ciepłem.

Na szyby mróz rzucał tkanki kwiatów dziwacznych, tak zacisznie, tak dobrze było im w tym gniazdku własnem.

— Tadku.

— Co kochanie?

— Ale pracę mu dasz?

— Dam . . .

— — — — — —

Sulimirski siedział w izbie, usiłując osadzić młotek na nowym, bukowym trzonie, nie bardzo mu to szło, ręka była niewprawna, a drzewo mało podatne. Nagle drzwi się otworzyły z trzaskiem i wpadła Anielka roześmiana, zarumieniona mrozem, z oczyma iskrzącemi radością, wpadł z nią w duszne ciepło izby, ożywczy chłód mroźnego dnia, zapachło powietrzem, co

niema stałego miejsca — to się zepsuło, tamto zgubiło lub stłukło. Mąż szuka i łaje — od słowa do słowa przychodzi do sprzeczki, powstają kwasy i niechęci, wreszcie człowiekowi własny dom tak obrzydnie, że się wynosi do szynku.

Ileż to grosza zaoszczędzić można przez porządek! Sprzęty, suknie, buciki dwa razy dłużej trwają, gdy się je po użyciu starannie czyści, porządnie składa i chowa w szafie. A gdzie matka staranna, tam i dzieci przywykają do porządku, ładu i oszczędności, nie psują sprzętów, szanują odzienie, nie niszczą książek, nie gubią szkolnych przyborów.

Nic milszego, jak schludna izba. Nie trzeba ni dywanów, ni kosztownych mebli. Gdy ściany czysto wybielone, podłoga wymyta, sprzęty na swojem miejscu stoją, a w oknie parę doniczek z kwiatami, to izba, choćby najuboższa, wygląda tak schludnie i miło, że każdy, kto wejdzie, pomyśli sobie: tu mieszkają dobrzy i uczciwi ludzie.

A tak widzicie, z porządku wielkie płyną korzyści, bo przyczynia się do naszego zdrowia, zaoszczędza sporo grosza, daje nam wygodę i jest największą ozdobą naszego mieszkania. **M. K.**

Odkąd zaczynać wychowanie dzieci.

Tak się obchodzić z dziećmi i tak niemi kierować, by rosły, były zdrowe, miały zapewnione utrzymanie, a szczególnie, by były cnotliwe, to jest, Bogu miłe i ludziom pożyteczne — znaczy: dzieci wychowywać.

Wychowanie dzieci należy przedewszystkiem do rodziców.

Kiedy zacząć dzieci wychowywać? — Zanim one jeszcze na świat przyszły.

Zanim się dziecko narodzi, matka powinna się wystrzegać wszystkiego, coby mu zaszkodzić mogło. Ma się zatem wystrzegać gniewu, pijaństwa, dźwigania, skakania. Jeżeli się tego nie będzie wystrzegała, dziecko urodzi się kaleką albo nieżywe.

W naszej wsi zginęła matka z dzieckiem, bo się wybrała na jarmark wtedy, gdy się była powinna od tego powstrzymać. Poślizgła się i na miejscu się zabiła.

Ojciec także musi się wystrzegać niektórych rzeczy, a głównie pijaństwa. Znam wsie, gdzie pijaństwo kwitnie. Otóż w tych wsiach jest dużo dzieci głupkowatych, albo upośledzonych na mowie, słuchu, pamięci, przyczyną zaś tego jest pijaństwo ojców. Niestety, rodzice się nad tem nie zastanawiają ani się do tego przyznać nie chcą. A przecież to jest zbrodnią, gdy dają życie dzieciom w stanie nietrzeźwym, bo dzieci pochodzące od rodziców popijających trunki alkoholowe jak: wódkę, rum, piwo i wino czynią swe dzieci nieszczęśliwemi na całe życie.

Jeżeli przed urodzeniem musi matka o dziecku pamiętać, to tem więcej po jego szczęśliwem na świat przybyciu. Takie malenkie dziecko nieraz już matką rządzi i złych nabiera nałogów. Gdy płacze, matka nie pomyśli, czemu to dziecko płacze, ale się stara wszelkimi sposobami je uspokoić. Albo mu daje zaraz pokarm, albo kawałeczek cukru do ust, albo je huśta i kołysze, albo bije.

Czemu dziecko płacze? Płacze, bo jest chore, albo je coś ugniata, albo mu gorąco lub zimno, albo

---

tam gdzieś przyleciało z wichurą od mrocznych jodłowych borów Babiej Góry czy Pilska. Spojrzała ku niemu roześmianemi oczyma i nagle radość jej przygasła w onieśmieleniu. Leciała jak warjatka w tę drogę powrotną, układała sobie, jak mu to wszystko powie, cieszyła się radością, którą mu sprawi, a teraz jakoś nie śmiała. Zdjęła chustkę i zaczęła ją składać troskliwie:

— Nowinę mam dla was, wicie...

Spojrzał ku niej obojętnie, cóż za nowinę mogła mieć dla niego, ona? Może jarzębiata jajko zniosła, albo Łatula dała o garneczek więcej mleka, to przecież były jej zwykłe nowiny. W najlepszym razie, jakaś przyjaciółka zapragnęła napisać do „Hameryki“.

— Nie ciekawiście?

— Ale owszem, ogromnie jestem ciekawy...

— Byłam na zarządzie, u pana, obiecał wziąć was na próbę na gajnego, macie tam pójść dzisiaj popołudniu. Będziecie mieć pracę. A co nie dobra nowina?

Sulimirski się porwał, ciemno błękitne oczy rozbłysły radością, ale równocześnie ścisnął mu serce ten szalony, potworny, dławiący lęk, który zawsze czuł przed nadchodzącym atakiem. Ten lęk, który go gnał w krąg po izbie bez celu, bez drogi, kazał czepiać się ścian, ten lęk...

Anielcia dojrzała jak ta ukochana twarz przybiera barwę szaro-zieloną, jak szeroko rozwarte, nieprzytomne oczy, z obłędem rozpaczy tulają się od ściany do ściany, a z ust wydziera się bełkot niezrozumiałych słów.

— Jezusie...

Jej zdławiony krzyk i jego jęk splotły się w jedno, runął.

Nogi kopały klepisko, darły go palce niespokojnie. A twarz sina, czarna prawie od naporu krwi drżała straszną męką konania, które konaniem nie jest.

Dziewczyna, blada jak płótno, podłożyła mu ostrożnie poduszkę pod tę nieprzytomną, bolesną głowę i czekała, aż mu to przejdzie, a wielkie, ciche łzy, toczyły się po jej bladej twarzy i spadały na jego ręce.

Jeszcze jeden skurcz, jeszcze jeden. Siność zaczęła ustępować, błędne oczy się otworzyły, oprzytomniały, odbiły jakiś wyraz dziwny, bólu graniczącego z rozkoszą i zamknęły, tym razem do spokojnego snu.

Anielka dźwignęła go teraz, na łóżko zaniosła, drżącemi ustami do ręki obwisłej bezwładnie przylgnęła:

— Biedaku ty mój... Biedaku...

Żeby się jeno rozbudził na czas, myślała z troską, bo wiedziała z doświadczenia, że po

jest głodne, albo wreszcie rozgrymaszone. Według tego trzeba z nim postąpić. Jeżeli głodne, trzeba je nakarmić, ale na to należy mieć wyznaczone godziny, a nie czekać na płacz.

Jeżeli chore, należy dochodzić, co mu brakuje i trzeba je leczyć.

Jeżeli rozgrymaszone, nie trzeba zważać na jego płacz, a gdy dziecko pozna, że płaczem niczego nie wymusi, uspokoi się samo.

Dziecko nie może matką rządzić, bo gdy będzie matką rządzić w kolebce, to będzie też rządziło matką, gdy wyrośnie z kolebki. Szkoda, że tak mało matek, coby to rozumiały!

Nie należy dziecka samotnie zostawiać w izbie. Były wypadki, że dziecko po przebudzeniu się wypadło z kołyski i skaleczyło się, albo też kot wszedł do izby, położył się na dziecku i zadusił je, albo wreszcie świnia je zagryzła.

Matka musi być dla dziecka Aniołem Stróżem. Nawet w nocy, gdy dziecko nie płacze, powinna czasem zobaczyć, jak leży i jak trzyma ręce. Małe bowiem dziecko czasem samo uczyć się może zabawek nieskromnych. Naprzód czyni to bezwiednie. Z czasem będzie to czyniło świadomie, będzie się z tem kryło — nie bez szkody dla swej duszy.

Zdarza się też, że dzieci nawet wtedy, gdy podrosną, moczą w łóżku. Bić je za to? Raczej bić matkę, że nie nauczyła dziecka zawczasu porządku. Matka ma pilnować dzieci, by przed spaniem swe potrzeby odbyły, a w nocy je czasem budzić w tym celu. Wnet przyzwyczają się, że się same będą budziły. Niekiedy takie moczenie w łóżku u starszego jest chorobą, którą trzeba leczyć. „Lekarz domowy“ — książka, którą napisał doktór Breyer w Krakowie, podaje na to dobre rady.

Do wychowania należy także chrzest dziecka. Źle czynią rodzice, którzy odkładają chrzest, aż dziecko podrośnie. Gdyby tak przed chrztem zginęło, kto ponosić będzie odpowiedzialność przed Bogiem?

W ciągu dwóch tygodni **najdalej** należy dziecko ochrzcić.

Grymaśni ojcowie trzymają je nieraz długo bez chrztu, bo się boją, że mu zimna woda zaszkodzi, albo... z głupoty. Tam się troszczą o dziecko, gdzieby się bez tego obeszło, a tam, gdzie ta troska tak potrzebna, rodziców niema! **P. Zarzycki.**

Katedra Wiedeńska.

Nazajutrz, skoro ranek, wybrałem się tramwajem przez *Mariahilferstrasse* znowu do katedry, pragnąc arcydzieło gotyku niemieckiego widzieć w jasny, słoneczny dzień.

Szedłem już z innym nastrojem. Wczoraj duszę całą usidliło melancholijnym oplotem uczucie liryczne i ujęło ster wrażeń miękką swoją dłonią; fale jego wezbrały i wylały z brzegów. Dziś uczucie wyrównało się i opadło, a łożysko wrażeniom wyżłobił spokój, rozum — krytycyzm.

Krytycyzm ten natychmiast przyszedł do głosu, skoro tylko znalazłem się na placu św. Szczepana i stanąłem w obliczu potężych ramion katedralnej fasady, strzelających w niebo dwie-

---

ataku nachodził go sen trwający godzinami. Ale do południa daleko było jeszcze.

— — — — — —

— Jestem Sulimirski, były porucznik ułanów, pan zarządca kazał mi się zgłosić, prawda?

— Tak. Rencki jestem.

Tadeusz Rencki rękę wyciągnął i w silny uścisk przygarnął wątłą, smukłą rękę tamtego.

— Proszę, niech pan siada. — Podsunął mu papierosy. — Mówiła mi Wielgusówna, że pan szuka pracy, otóż mógłbym ją panu dać. Na razie zastępstwo gajowego, po kilkumiesięcznej zadawalającej służbie ewentualnie stałe miejsce. Rewir jednak jest rozległy, teren górzysty i wymaga dużego nakładu sił fizycznych, czy pan podoła?

Błękitne oczy zmierzchły smutkiem.

— Może pan zarządca być pewnym, że będę się starał obowiązki wyznaczone spełniać sumiennie i uczciwie. Możność jakiejkolwiek pracy jest dla mniej takiem wielkiem dobrodziejstwem. Jednak muszę powiedzieć prawdę, w czasie wojny spadłem z konia, zemdlałem, wywiązało się zapalenie mózgu, wyzdrowiałem, ale zdaje mi się w mózgu pozostał jakiś odprysk kości, tkwi tam jeszcze i wywołuje ataki epileptyczne. Z początku nie zwracałem na to uwagi, występowały tak rzadko, przy silniejszych wstrząśnieniach duchowych jedynie, następnie wzmogły się.

— Próbował się pan leczyć?

— Właściwie nie było kiedy. Dostałem się do niewoli, potem chorowałem na tyfus, uciekłem, poniewierałem się, jak zresztą, nie ja jeden. Teraz uznany jako inwalida, nie należę już właściwie do składu armji, nie mam więc może prawa do ich szpitali, zaś leczenie prywatne przechodzi moją możność. Trzebaby się dać prześwietlić, poddać zapewne trepanacji czaszki, a to wszystko przedstawia koszta, dla mnie do pokrycia niemożliwe. Trzeba więc zdecydować się na dalszą wegetację, tak jak jest...

— A jednak, usunięcie tego odłamka kości, mogłoby pana zupełnie uzdrowić.

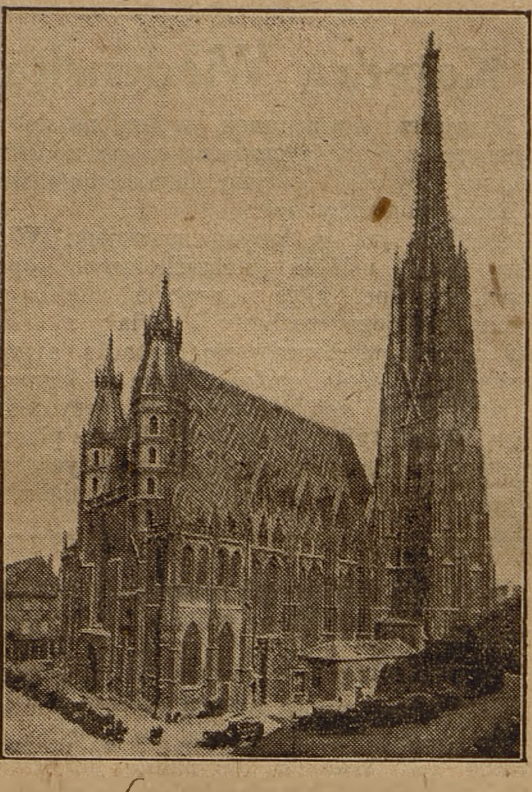
— Albo uśmiercić, co jest także wprawdzie swojego rodzaju uzdrowieniem, ale... pomimo wszystko, człowiek kocha życie. Zresztą, usunąć go tak, czy tak nie mam za co, niech więc tkwi.

— Niema pan nikogo bliskiego?

— Z najbliższych nikogo, ojciec padł, jak mi doniesiono niedawno, gdzie matka wyjechała, nie mogłem się dowiedzieć. Z dalszych krewnych nie mam wielu, a przytem, najciężej przychodzi człowiekowi prosić o coś dla siebie, u swoich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ma ostremi wieżyczkami. Plac katedralny wydał mi się stanowczo za mały, kamienice okolne zbyt blizko kościoła, wskutek tego kościół robił wrażenie ściśniętego, jakby przyduszonego i nie mogącego nabrać tchu. Chciałoby się wszystkie sąsiednie budowy rozbić, odcisnąć, wyrzucić precz, aby zdobyć większą przestrzeń, z której możnaby się kształtami architektonicznemi arcytworu w odpowiedniej perspektywie rozkoszować. W dzisiejszych bowiem warunkach estetyczne napawanie się św. Szczepanem na odległość jest niemożliwe, przed świątynią staje się nagle, niespodzianie, po wydobyciu się z ciasnych ulic, nagłość zaś ta jest tak daleco nieoczekiwana,



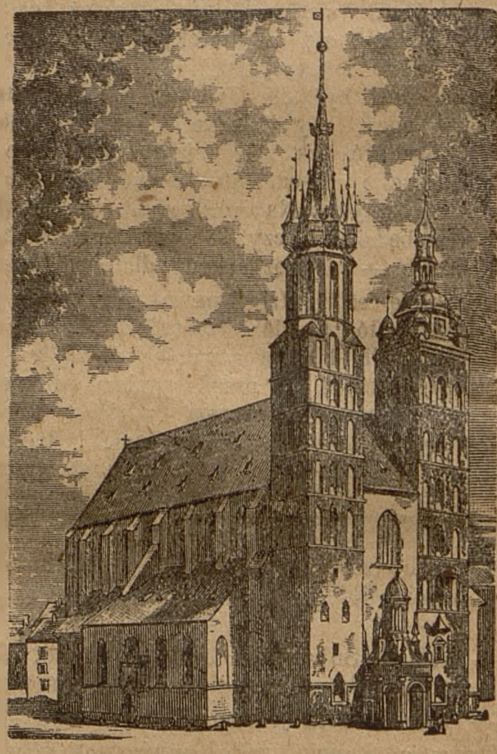
Katedra św. Szczepana w Wiedniu.

że widz staje zdumiony i pyta się, skąd zaś ten Dom Boży tutaj się wziął i w jaki sposób w taką ciasnotę przywędrował?

Wyobraźnia w tej chwili przywodzi na pamięć kościół Marjacki w Krakowie, który obrał sobie siedzibę lepszą i korzystniejszą, mając przed sobą obszerny rynek, na który spływa z jego wież piękna i mistyczna poezja.

Krytycyzm nie zadowolił się — otoczeniem i widokiem fasady. Obszedł katedrę kilkakrotnie, pochwycił jej podstawę, szerokość i wysokość, wymierzył podniebne iglice i stosunek ich do całego korpusu katedralnego, porównał z sobą i doszedł do przekonania, a raczej przedtem już na pierwsze wejrzenie odczuł, że św. Szczepan wiedeński, aczkolwiek dzieło potężne, wprost monumentalne, wiodące ducha ku szczytom średniowiecza, nie ma jednak czegoś, co ma krakowski kościół Marjacki i czem ten kościół musi podbić serce każdego uważnego przechodnia. Tem czemś to niesłychanie wielka lekkość krakowskiej świątyni.

Lekkość ta jest tak silna i taki niezwykły ma charakter, tak z powodu smukłej i smukłemi wieżycami ukoronowanej wieży, jak z powodu wysoko rozpiętego sklepienia nawy głównej, że patrzącemu na świątynię krakowską, czy od strony rynku, czy też podziwiającemu ją wewnątrz, rodzi się w duszy uczucie miękkiej, czystej, nieskazitelnej dziewiczości. Czegoś podobnego u św. Szczepana trudno znaleźć. I podobno nietylko u św. Szczepana! Świątynia



Kościół Najśw. Panny Marji w Krakowie.

wiedeńska jest mimo całego swego majestatu dziełem przyciężkiem.

Przyciężkiem, lecz bynajmniej nie zimnem. Krytycyzm musiał to z całą uległością stwierdzić. Kiedy przesuwał się koło łuków katedry św. Wita w Pradze i kiedy przyspoczął na chwil kilka na jej ołtarzach, nadaremnie szukał tam gorącości i ciepła. Świątynia praska może wywołać podziw, ale ogrzać duszy nie jest w stanie. Modlitwa, korna i rzewna, uleciała z niej i — zdaje się — już do niej nie powróci. Będzie świątynia ta stać, jako rzecz bezmodlitewna, już na wieki. Że rzecz ta nietylko mnie nie pobudziła do wydobycia z siebie uczuć religijnych, ale że działa taksamo na innych, dowodem jest, że kościół ten zawsze stoi pustką. Zima przylegla do jego ścian, wieje z niego lodowaty, północny chłód.

Jakżeż od tej świątyni Hradczyńskiej odbija katedra wiedeńska! Jest ona nie tylko domem sztuki, ale także prawdziwym Domem Bożym. Nastrój religijny unosi się w niej wszędzie. I u jej stóp, do których schylają się kolana tysiącznych, wiedeńskich, katolickich rzesz, i pod jej arkadami, wiecznie przytłumionemi mrokiem. Trzeba bowiem z naciskiem podkreślić, że w świątyni wiedeńskiej ustawiczny panuje mrok. Oddziaływa mrok ten na duszę, dając jej wrażenie nieskończoności, oraz mistycyzmu pokornego, zmuszającego duszę, by przylgnęła do ziemi i w prochu ziemskim szukała pokuty za swoje winy.

Pod tym względem odbija od św. Szczepana wnętrze krakowskiej świątyni Marjackiej w jaskrawy sposób. Świątynia ta to także dzieło prawdziwie Boże. Arcydzieło sztuki i arcydzieło głębokiego uczucia religijnego. Sam jego widok nastraja do modlitwy. Gdy się człowiek znajdzie w jej wnętrzu, dusza jego staje się drugą świątynią, zapomina o codzienności i unosi się w gwiazdy. Jest w tem mistyka, ale nie mistyka pokutnicza i w prochu się korząca, tylko mistyka radosna, młodzieńcza, pełna życia, poezji i szczęścia. Polichromja Matejkowska ozłaca, obłękitnia, ogwieździa, ożywia, oduchowia i przeanieła to wnętrze kościelne w zjawisko nie z tego świata. Zaiste, trudno coś podobnego zagranicą znaleźć! Mogą tam być dzieła potężniejsze, wywołujące drżenie i błyskające wulkanami poezji; dzieła o tak niewinnej, dziewiczej, rozbłękitnionej liryczności, nigdzie się nie znajdzie.

Niema go też i w świątyni wiedeńskiej, na której sklepieniu nie położył pędzla żaden niemiecki Matejko, który, chociażby się nawet znalazł wśród wiedeńczyków, polichromji stworzyć-by nie mógł, gdyż z powodu ustawicznej ciemności wnętrza byłaby ona bezcelową.

Opuszczałem katedrę wiedeńską z uczuciem Boga i uczuciem piękna. Nie piękna lirycznego, bujnego rozlewnością uczuć, lecz piękna epicznego, bohaterskiego, stanowiącego odrębne królestwo. Kiedy znalazłem się na placu katedralnym, mając stąd odejść na długo, odwróciłem się i jeszcze raz objąłem wszystkie kształty arcydzieła architektury. Potężne jego podwaliny, ściany, skarpy, ostrołukowe, koronkowe okna, wzorami spięty dach i żywym, tytanicznym słupem w błękity strzelająca wieża — śpiewały niebiosom spiżowy hymn wielkości i potęgi. I pokory.

Podniosłem oczy tam, gdzie w błękitach czernił się ostatni koniuszek wieżycy. Zadrżałem. Dostrzegłem tam jakieś życie. Potężny, górski sokół unosił się ponad nim i wydawał powietrzne, piskliwe jęki. Rozpostarł skrzydła i, jak motyl, nabity na szpilkę, trwał nieruchomo na błękitnych wyżynach. Jakby sam nabity był na ostry koniec wieży. Od czasu tylko do czasu poruszył loty i zatrzepotał i posunął się poza wieżowy szczyt, jakby chcąc dać znać, że serce jego bije mocno i skrzydła panują na wichrach. Patrzyłem długo w tego górnego skrzydlacza, zachwycony jego spokojem i potęgą. Powoli przekształcał się on u mnie w symbol całego tego kościoła, co modlił się pod nim.

Jak ten kościół stał potężnie na ziemi, tak ten ptak bujał potężnie na niebiosach. I dotąd widzę go oczyma duszy mojej i dotąd widzę w nim nadobłoczne ucieleśnienie wiedeńskiego tumu. **St. Zagórzański.**

———ooo———

Pod pręgierz.

Głupota — głupsza od głupoty.

Czytamy w Piśmie św. „Przewrotni z ciężkością bywają naprawieni, a głupich jest poczet nieprzeliczony“ (Ekkli 1, 15). Niby to już wiek XX, oświata szaleje, postęp pędzi na dzikim koniu, a poczet głupich jest coraz bardziej i więcej nieprzeliczony. Było i pozostanie starą prawdą, że brak wykształcenia religijnego, brak znajomości — małego katechizmu — zaprowadzą ludzi — uczonych i prostaków na obszerne i pełne zagadkowości pole zabobonu.

Już nie wiadomo poraz który otrzymałem „modlitwę“ i srogie wezwanie, aby ją 10 razy przepisać i do 10 miejsc wysłać. Kto to zrobi „wybawiony — ma być — od smutku, kto zapomni lub zlekceważy, ukarany będzie. Kto do trzech dni wyśle, Bóg mu szczęście ześle“.

Wszyscy, którzy tego rodzaju bzdurstwa przepisują i rozsyłają, są szerzycielami najciemniejszego głupstwa. Do pieca, do śmieci... z temi kartkami. Na szczęście trzeba pracować długie lata, być rozumnie wierzącym. Wiara w podobne zabobony, to szkoła lenistwa i próżniactwa. Tylko próżniacy mogą mieć czas na przepisywanie tych bezdennych głupstw.

* * *

Po napisaniu powyższych zdań przybył do mnie pewien pan i zdradził mi — źródło tych tajemniczych kartek „z modlitwami“. Jest nim podobno pomysłowy urzędnik poczty w Warszawie, który tym sposobem pragnie przysporzyć dochodów dla Ministerstwa poczt i telegrafów.

I tak „szczęście“ idzie do kasy pocztowej. Taka przynajmniej korzyść tych „modlitw“. M.

Taniec w kościele.

Narzekają wszyscy i szemrzą na ciężary, na wielkie podatki i rozmaity ucisk, ale jakże uwierzyć w te narzekania, kiedy rozglądnąwszy się po Bożym świecie, zewsząd dolatuje śpiew weselny, głos radości, okrzyki rozpusty i jęki dzikiej muzyki. Dolina łez, padoł płaczu znikły z powierzchni ziemi, a raj dawno utracony trjumfalnie powrócił. Wszędzie tańce, pląsy, bo tu wesele, tam bal, gdzieindziej jakiś wieczorek, a wszędzie zapusty.

Niechby sobie wreszcie tańczyli i choć ból ściska serce, dałbym spokój i nie pisałbym do „Dzwonu“, gdybym nie był na własne oczy nie zobaczył taniec w kościele! Tak w kościele! Nie znam nazw tańców, bo głupstwa takie nigdy nie czepiały się mej głowy,

jest jednak taniec, gdzie tańczące pary nie wirują około siebie, lecz idą ujętym w pewne tempo krokiem. Taki taniec urządza sobie drużyna weselna, zaraz po ślubie, w krąg Wielkiego ołtarza!... I to — po ucałowaniu Chrystusa Ukrzyżowanego! Czy nie Judasze? — Licho by jednak cały ten taniec wyglądał, gdyby nie **„marś“** grany na organach. O tego to „marsia“ rozgrywają się targi z organistą, a ten zależny od chłopów, przyciśnięty biedą, przyduszony do ściany za judaszowskie grosze, znieważa poświęcony na chwałę Bożą organ, bezcześci Kościół i przyczynia się do zbeszczeszczenia Najśw. Sakramentu. Nie wierzyłbym temu, ale tak mi się żalił organista z sąsiedniej parafji... **Może to smutna pamiątka żydowskiego tańca koło złotego cielca?**

Roztropnie postąpili ci księża, którzy po ślubie zaintonowawszy: „Pod twoją obronę“ — wskazali nowożeńcom, aby z tą modlitwą zwrócili się do Matki Miłosierdzia. **K. K.**



ROCZNICA KORONACJI OJCA ŚW.

Z okazji rocznicy koronacji Ojca św. w całym świecie katolickim odbyły się uroczyste nabożeństwa, akademje, przedstawienia i t. p., mające za cel wyrazić hołd wielkiemu Papieżowi. Hasło Ojca św. „Pokój Chrystusa w Królestwie Chrystusowym“ jest obowiązkiem chwili dzisiejszej. Poprawa w położeniu świata może nastąpić tylko w urzeczywistnieniu tego programu. „Dzwon“ nasz stara się wiernie służyć idei Ojca św. walcząc, szerząc i broniąc zwycięskiego królowania Chrystusa.

UROCZYSTE ZAMKNIĘCIE WYSTAWY MISYJNEJ W RZYMIE.

„Idąc tedy na cały świat nauczajcie wszystkie narody“ — oto rozkaz, jaki Apostołom i ich następcom dał P. Jezus przed dwudziestu blisko wiekami. Czy rozkaz ten został spełniony? Dowodem tego, że tak jest, była wystawa misyjna zorganizowana w Rzymie z okazji „Roku jubileuszowego“. Tysiące pielgrzymów, przybywających do Rzymu na uroczystości jubileuszowe z różnych krajów, mogło zapoznać się bezpośrednio z dorobkiem pracy misyjnej w różnych, najodleglejszych nawet częściach świata i podziwiać, co potrafią zrobić słabe siły ludzkie, jeśli im towarzyszy błogosławieństwo Boże i Boska opieka.

Nie będę opisywał samej wystawy, gdyż o tem czytelnicy „Dzwonu Niedzielnego“ w samym „Dzwonie“ i innych gazetach już nieraz czytali; chciałbym tylko pokrótce przedstawić uroczystość zamknięcia tej wystawy w dniu 10 stycznia b. r. Ojciec św., który przywiązywał wielką wagę, do tej wielkiej manifestacji religijnej „Roku świętego“, sam, osobiście chciał być obecnym na zamknięciu tej wystawy, by przy tej sposobności wygłosić słów kilka, wyrażających jego głębokie zadowolenie, a zarazem podziękowanie i nagrodzić tych, którzy w zorganizowaniu wystawy misyjnej położyli największe zasługi. Uroczystość odbyła się w pięknej galerji muzeum Watykańskiego, t. zw. „Braccio Nuovo“. Wchodzącego Ojca św. w otoczeniu całego dworu powitał chór pod kierownictwem sławnego mistrza Casimiri, a następnie, gdy Ojciec święty zajął miejsce na tronie, skierował do niego swe powitalne słowa kardynał Van Rossum, prefekt Kongregacji rozkrzewiania Wiary św. Ojciec św. w odpowiedzi, złożywszy najpierw podziękowanie P. Bogu, dziękował następnie organizatorom tej wystawy. Podkreślił w swem przemówieniu wielkie znaczenie tej wystawy, która wywołała podziw u różnych narodów, rozmaitych wyznań i różnych przekonań. Dowodnie ona stwierdziła jedność, powszechność i żywotność Kościoła katolickiego i rozpaliła w wielu sercach gorącą chęć współpracy w tem wielkiem dziele Apostostwa katolickiego. Dlatego też, ażeby nie pozbawiać wielu wiernych, którzy nie mogli przybyć w „Roku jubileuszowym“ do Rzymu, możności zwiedzenia tej wystawy tak wspaniałej, zaznaczył Ojciec św. w swem przemówieniu, że najważniejsze części tej wystawy będą odtąd stale dostępne dla zwiedzających, jako „muzeum misyjne“ w pałacu Lateraneńskim. Po rozdaniu medali i dyplomów organizatorom wystawy i po wysłuchaniu dwu wspaniałych hymnów, jednego na cześć Chrystusa-Króla, drugiego na cześć św. Męczenników-misjonarzy, odszedł Ojciec św. w otoczeniu swego orszaku, owacyjnie żegnany przez zgromadzonych.

Francja i zakony.

(Od własnego korespondenta).

Paryż, w lutym 1926.

„Nie odejdziemy!“ Te słowa zabrzmiały w całej Francji, w chwili gdy dwa lata temu, Herriot, ówczesny prezydent ministrów, chciał przeprowadzić między innemi wrogiemi Kościołowi katolickiemu ustawami, także i ustawę, na mocy której wszystkie zakony, które w ostatnich latach osiedliły się we Francji, musiałyby ten kraj opuścić.

Słowa te: „Nie odejdziemy“, odbiły się potężnem echem w całej Francij, bo wymawiały je usta setek i tysięcy zakonników, którzy w chwili gdy nawała germańska groziła sercu Francji, stanęli do apelu z najodleglejszych krajów, bo widzieli, że ojczyzna w niebezpieczeństwie. Pospieszyli, by zasłonić ją swemi piersiami, ginęli śmiercią walecznych na polu chwały, odbierali liczne odznaczenia za waleczność, a oto teraz ta ojczyzna, której oni z takiem służyli poświęceniem — ich wypędza. Ale to nie Ojczyzna, lecz tylko garść ludzi, ziejących nienawiścią do

wszystkiego, co katolickie, chciała im tę krzywdę wyrządzić. Dowodem tego, że to tylko część narodu, są te tysiące, które, jak jeden mąż, stanęły do walki w obronie praw zakonów. Do walki, ale nie tej krwawej, połączonej z rozlewem krwi bratniej, wyciskającej piętno kainów na czołach, ale do walki praworządnej, w ramach dozwolonych przez prawa i przepisy obowiązujące każdego obywatela. Walkę w obronie zakonów rozpoczęła Liga obrony praw zakonników, dawnych żołnierzy, t. zw. DRAC (Droits du Religieux Ancien Combattant), dążąc w pierwszym rzędzie do zniesienia ustaw z r. 1901 i 1904. Ustawy z tych lat zakazują zakonom zrzeszać się tak jak to czynią inni obywatele francuscy, nauczać i t. d., jednem słowem pozbawiają ich możności pobytu we Francji. W imię zasad: „wolności, równości i braterstwa" (liberté, egalité, fraternité), któremi, jako cennym dorobkiem chlubi się Francja, apelują członkowie wyżej wspomnianej Ligi do rządu, w sprawie pewnej części obywateli francuskich, którzy spełnili sumiennie i spełniają zawsze swoje obowiązki względem państwa, t. j. w sprawie zakonników, o przyznanie im pełnych praw obywatelskich i zniesienie krzywdzących ustaw. Do tego zmierzało zeszłoroczne zebranie w Lune parku w Paryżu, przy 20 tysięcy katolików, ten sam cel mają konferencje zorganizowane przez Ligę katolicką. Konferencje te wygłaszają ludzie zasłużeni i powszechnie znani, jak np. kardynał Charost, arcybiskup z Rennes, X. biskup Baudrillart, rektor Instytutu katolickiego w Paryżu, wielki przyjaciel Polaków, Jerzy Goyau, członek Akademji francuskiej i inni i wykazują w tych konferencjach w pełnem oświetleniu historycznem powstawanie, rozwój, życie zakonów, a zarazem dobrodziejstwa, jakie za ich pośrednictwem spływają na ludzkość całą.

„Nie odejdziemy" — brzmi coraz głośniej po całej Francji. **Dr K.**

Minister protestancki chwali szkołę katolicką.

Katolicy w Zurychu doznali niedawno bardzo żywej satysfakcji. Minister oświaty, radykał i protestant, oddał hołd wpływowi chrześcijaństwa na wychowanie dzieci i złożył publiczne oświadczenie, w którem zamieścił te złote wyrazy: „Nie jest rzeczą możliwą ująć dzieci w karby moralności, jeżeli ich się nie uświadomi, że znajduje się na świecie autorytet wyższy od rozumu ludzkiego. Nauczyciel najlepiej może dopiąć tego celu, okazując dzieciom, że się sam poddaje temu autorytetowi, a to przez głębię swych przekonań religijnych, przez sposób swego nauczania i przez własny dobry przykład".

Katolicy w Zurychu przyjęli z radością te słowa ministra i oczekują czynów, jakie po takich słowach niechybnie nastąpią. Nasi szwajcarscy współwyznawcy nie mają zwyczaju zadowalniać się samemi pięknemi słówkami, ale żądają ich praktycznego zastosowania. My, Polacy, uderzyć się musimy w piersi i przyznać, że nasza działalność katolicka więcej na słowach, niż na czynach polega. Oklaskujemy oratorskie zwroty, a stanowisko nasze wobec błędów i wrogich zakusów zaznaczamy co najwyżej w mowie i piśmie. Obyśmy raz już przeszli od słów do czynów.

Baw się narodzie!

Baw się narodzie, chociaż się już wali
Grunt bezpieczeństwa pod twemi nogami,
Baw się, choć pomruk złowieszczy z oddali
Słychać już między głodnemi masami!

Baw się narodzie, choć jak blade cienie
Snują się tłumy bezdomnych nędzarzy,
Którzy stracili dach, pracę i mienie
I chęć odwetu w ich duszy się żarzy!

Baw się narodzie, chociaż twoje miasta
Nikną na korzyść obcego żywiołu,
Choć się żydostwo w nich tłumnie rozrasta
Kosztem polskiego grosza i mozołu!

Baw się narodzie! spiesz się na reduty!
Na „dobroczynne" bale i pikniki,
Bądź już do reszty z rozumu wyzuty,
Zdepcz wszelkie względy, stłum sumienia krzyki!

Baw się narodzie! niech inne narody
Hulaszczość, zbytek i blagę ścigają,
Ty bałwochwalcą bądź bezwstydnej mody,
Bądź błaznów, skoczków i kuglarzy zgrają!

Baw się narodzie! niechaj inne ludy
Tępią rozwody i fałszywe wiary,
Dla cię zbyteczne o zbawienie trudy,
Ty chwytaj wszelkie niedowiarstwo mary!

Baw się narodzie! wesoły i pusty,
Tańcz, skacz i śmiej się, gdy taka twa wola,
Lecz pomnij, że, gdy skończą się zapusty,
Może przyjść znowu: wielki post — niewola!

Ks. Mateusz Jeż.



W polityce i światowej i wewnętrznej względna cisza. Tylko o fałszerstwie banknotów francuskich w Budapeszcie głośno. Gazety mało mają sensacyjnych wieści politycznych. Daje to sposobność dziennikarzom, aby się obszerniej i głębiej zastanowili nad zagadnieniami, które

nas najbardziej dręczą.

Jest to zaś bezrobocie i sprawa uzyskania pożyczki zagranicą.



Angielski minister spraw zagranicznych p. Camberlain i jego żona z okazji podpisu paktu w Locarno zostali wysoko odznaczeni.

W kraju podnoszą się coraz częstsze głosy, czybyśmy nie uzdrowili naszego życia gospodarczego

bez pożyczki zagranicznej.

Oczywiście wzmożona praca, poważny wysiłek wszystkich odniósłby niewątpliwie skutek. Pieniądze teżby się znalazły w kraju. Bo są jeszcze obywatele w Polsce, co mają gotówkę. Nie w Polsce, ale zagranicą, w bankach londyńskich, paryskich i new-yorskich. Gdyby Rząd i administracja przedsiębiorstw publicznych okazały uczciwość i sumienność chrześcijańską w gospodarce; gdyby można być pewnym, że pieniądze nie zostaną zmarnowane, możnaby żądać od rodaków, aby nie uciekali za granicę ze swym dorobkiem grosza w Polsce zaoszczędzonym. Nie dawno obiegła Polskę wiadomość, że właściciele szynków chętnieby udzielili Państwu pożyczki na pewnych bliżej nieokreślonych warunkach.

Każdyby dał, choć i ostatnią, w skrzyni schowaną pamiątkę ze złota, gdybyśmy mieli pewność, że Ojczyzna kochana stanie silnie na nogi.

Konieczną jest zatem rzeczą moralne odrodzenie narodu w religii katolickiej i to od — góry! Wtedy dopiero można mówić o samowystarczalności, gdy pokochamy pracę i wytwórczość zdążającą do odrodzenia Państwa oprzemy na literze sprawiedliwości chrześcijańskiej.

Pp. naczelnikom i różnym dyrektorom katechizm dać do ręki !!

Niepokojącym w wysokim stopniu jest wzrost bezrobotnych. Jest ich już 350.000. Olbrzymia to cyfra! Jak ulżyć wielkiej biedzie tych ludzi?

Jedyną rzeczą, jaką dotychczas się robi w tym kierunku, jest tylko **wypłata zasiłków dla bezrobotnych,** które pobiera obecnie mniejwięcej połowa wszystkich pozbawionych pracy, a zatem okrągło 175.000 osób. Zasiłki te wynoszą od 1—1½ złotego, zależnie od stosunków rodzinnych, pomimo to jednak obarczają one dotkliwie nietylko samych ubezpieczonych i przemysłowców, ale i **Rząd,** który **co miesiąc dopłaca na ten cel 10 miljonów złotych.**

System zasiłków spotyka się z wielu stron z krytyką aż nadto uzasadnioną. Faktem jest, że **działa** on **demoralizująco** na psychikę robotnika i żadnych korzyści społeczeństwu nie przynosi. Można go więc uważać co najwyżej tylko jako zło konieczne w braku lepszych środków.

Jako taki środek w lepszym stopniu, sposób rozwiązujący kwestję bezrobocia, wysunięto projekt, polegający na tem, że **zamiast wypłaty zasiłków dla bezrobotnych, Rząd udziela subwencyj zagrożonym przedsiębiorstwom przemysłowym,** umożliwiając im przez to utrzymanie pracy w dotychczasowych rozmiarach. System ten nie znalazł jednak uznania ze zrozumiałych względów, gdyż przedewszystkiem otwiera on pole dla protekcji, a następnie zachodzi możliwość nadużyć ze strony przedsiębiorstw, które właśnie w celu uzyskania subwencji zagrożą redukcją pracy lub liczby robotników.

Innym środkiem częściowego przynamniej zażegnania bezrobocia jest **podjęcie robót publicznych czy to przez Państwo, czy też przez gminy miejskie.** Istotnie podjęto w tym kierunku ostatnio pewne próby, m. in. także i w Krakowie. Trudność cała leży w tem, że takie roboty na większą skalę, któreby mogły dać zajęcie znaczniejszej liczbie bezrobotnych, wymagają znacznych funduszów. Funduszów tych zaś nie posiadamy, bo względy oszczędnościowe nie pozwalają na wydatkowanie na ten cel bieżących dochodów państwowych czy gminnych, a kredytami długoterminowemi także nie rozporządzamy. Z konieczności więc akcja ta zachować musi rozmiary dość skromne i w małym tylko stopniu przyczynić się może do ulżenia doli bezrobotnych.

Dochodzi więc do tego, że nam koniecznie trzeba więcej pieniędzy niż mamy.

Złoty się trzyma. **Wujaszek.**

Dziwak, zasłyszawszy gdzieś, że kruk żyje więcej niż dwieście lat, kupił sobie tego ptaka, chcąc się o tem przekonać.

KRONIKA

INGRES KS. BISKUPA JAŁBRZYKOWSKIEGO W ŁOMŻY. W dniu 26 ub. m. odbył się ingres pierwszego biskupa łomżyńskiego, ks. Romualda Jałbrzykowskiego. W ingresie wzięły udział liczne delegacje duchowieństwa z ks. kardynałem krakowskim na czele, reprezentanci władz centralnych w Warszawie i cała ludność Łomży i okolicy. Po ceremonjach kościelnych biskup przyjmował liczne delegacje stowarzyszeń społecznych. Delegacja miasta wręczyła mu ozdobny dyplom obywatela honorowego (pierwszego) m. Łomży. Życzenia złożyli ks. biskupowi między innymi przedstawiciele gminy żydowskiej, do których ks. biskup przemówił po hebrajsku.

UROCZYSTE NABOŻEŃSTWO MIESIĘCZNE. Staraniem Sodalicji św. Piotra Klawera odbędzie się w kościele św. Marka w niedzielę dnia 14 lutego o godz. 4 popoł. uroczyste nabożeństwo miesięczne z wystawieniem Najśw. Sakramentu i kazaniem misyjnem. O jak najliczniejszy udział w tem nabożeństwie prosi uprzejmie wszystkich Członków i Przyjaciół dzieła misyjnego .

POŚWIĘCENIE LOKALU. Onegdaj został poświęcony przez ks. prof. Feliksa Hortyńskiego T. J. nowy lokal najstarszego składu fortepianów firmy Władysław Boloński (Z. Raba nast.), który z ul. św. Anny Nr. 3, został przeniesiony na Rynek gł. Nr. 34, do Pałacu Spiskiego.

SPIESZMY Z POMOCĄ. Sekcja miłosierdzia Komitetu jubileuszowego 700-rocznicy śmierci św. Franciszka z Assyżu, pragnąc wzmocnić akcję JE. Księcia Metropolity w niesieniu pomocy biednym i bezrobotnym, urządza stałą zbiórkę starej odzieży, którą po odnowieniu, mogą otrzymać istotnie tego potrzebującego za najmniejszą cenę. Cenę oznacza się za przykładem zagranicy, gdzie biedni otrzymują obiad za 1 gr. Aby akcję tę rozwinąć na szerszą skalę, sekcja zwraca się do wszystkich serc litościowych z gorącą prośbą o ofiarowanie na ten cel starszej zbędnej odzieży.

Lokal zbiórkowy mieści się w budynku SS. Felicjanek przy ul. Smoleńsk L. 2. gdzie codziennie od godz. 11—12 w południe i od godz. 4—5 popołudniu przyjmują Siostry III Zakonu ofiarowaną odzież i bieliznę.

POŚWIĘCENIE SZTANDARU. W dniu M. B. Gromnicznej w kościele Bożego Ciała, przed wotywą poświęcił ks. przeor Górny nowy sztandar, sprawiony przez tamtejsze Bractwo Różańcowe pań. W czasie wotywy grała pięknie na chórze orkiestra 1 pułku weteranów, a podniosłe kazanie wygłosił jeden z OO. Paulinów. Kościół był przepełniony. — Wspaniały sztandar, wykonany w pracowni robót kościelnych Tow. popier. przemysłu kobiecego pod firmą „Marta“ zawdzięcza swe powstanie przedewszystkiem zabiegom dwóch zelatorek Bractwa: pp. Józefy Słupczyńskiej i Anastazji Grabcusz, które z niezwykłą gorliwością starały się o zebranie potrzebnej kwoty, aby tylko sztandar był prawdziwą ozdobą Domu Bożego.

Odpowiedzi Redakcji.

Ks. W. K. W liście otrzymaliśmy 2, a nie 4 złote. **P. A . . . ska:** Pani jest „wierzącą i praktykującą katoliczką“ — tak pani pisze w swym liście do Redakcji. Dziwna wiara i dziwniejsze praktyki! Bawić się do godz. 10 rano w niedziele, choćby to była „prywatna“ zabawa, nijak się nie da pogodzić z praktykami religijnemi. „Dzwon“ wtenczasby „bałamucił“ „ludzi niewykształconych“, gdyby tego rodzaju „prywatne“ zabawy milczeniem pomijał. Co zaś do inteligencji, która według listu p. „artykułów Dzwonu na serjo nie bierze“, zapraszam p. do Redakcji i chętnie pokażę dużo, dużo listów od inteligencji, wyrażających niezasłużone czasem podziękowania i gratulacje za „otwarty, mężny i prawdziwie katolicki kierunek“ Dzwonu. Takie listy ma redakcja nawet od profesorów uniwersytetu, których pani chyba nie odsądzi od — inteligencji. Zresztą w rzeczach zgorszenia publicznego ten popełnia większy grzech, kto przez swoje wysokie stanowisko — więcej gorszy. **Dr W...:** I pan się dziwi?! Przecież dla polityków naszych jest ważniejsze pytanie: Kto jest na sali, niż: co im powiedzieć? Drugie zawsze zależne od pierwszego. **Jania Stanisław: Zagadki nie do naszego pisma.**

Za redakcję i wydawnictwo z ramienia Katol. Związku Wyd. odpowiada Ks. Ferdynand Machay.
Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie pod zarządem Romana Ferka.